Z KSIĘGOZBIORU
EMILA BALCERA w ŁOWICZU
410

Zbiory
DIECEZJI ŁOWICKIEJ

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA-NARODOWY
BIBLIOTEKA

St. inw. 410
N. dział. 14 Powieści

Z KSIĘGOZBIORU EMILA BALCERA W CZMCU
Stowarzyszenie I. F. C.

TADEUSZ BOK.

Ballada Szopena

i inne

NOWELE.

Czcionkami Jana Grodka, Łódź.
—
1914.

Z KSIĘGOZBIORU EMILA BALCERA W LWOWICZU

Ballada Szopena.

Zbiory Stowarzyszenia I.F.C.
1709

Na cichy, stary ogród zapada mrok.

Na wielkie, rozłożyste konary pochylonych drzew sadu, na starą, zgarbioną wierzbę—zapada szary mrok...

Po wązkich dróżkach żwirowych, po rozległych trawnikach, przez ciszę umiłowanych—błąkają się cienie, słupami wznoszą się ku niebiosom, by tam zajaśnieć za chwilę miljonami świateł.

Cicho i szaro...

Przez otwarte okno wypada i w trawnikach się plącze dźwięk fortepianu: „Ballada“ Szopena.

Stare drzewa pochyliły korony, młode trawki zgięły się w szacunku—i słucha stary sad...

Najprzód pasaż szeroki i dumny, a później motyw—coś, jakby walc, coś, jakby dumka. Tak cicho, cichutko uderzają klawisze, taka słodka płynie w sad melodja.

Ballada...

Przy zacisznym kominku siedzi stara babunia i wnuczętom opowiada bajkę...

„Hej, przed wiekami
„Miał ci tu gród
„Król nad królami—
„Pradawny ród!

„Przy nim dwie córy —
„Dziewoje — cud,
„I syn — sokolik —
„Potężny ród!“

Fortepian grzmi jękliwymi skarżącymi się tony, minorowymi dźwiękami bierze w objęcia sad.

Stare drzewa pochylone słuchają...

„Poszedł na wojnę
„Królewicz raz,
„Hen, za tę wodę,
„Za góry, las...

„Ale nie wrócił
„Z bitwy... w zły czas...
„Zginął daleko,
„Gdzie góry, las...

Coś jęknęło pogrzebowo w tonach „Ballady“ Szopenowskiej. Zagrzmiało, zahuczało i rozpłynęło się w łzawym molowym pasażu.

„Odtąd samotny
„Był wiecznie król,
„Wśród ścian zamczyska
„Miota nim ból!

„Nie rządzi państwem
„W rozpaczy król —
„Gniotą mu duszę
„Tęsknota, ból!...

„Nie tęsknią jednak
„Dziewoje dwie —
„Bo ot, karoca
„Do zamku mknie.“

„Dwóch kniaziów mówi
„Że córy chce,—
„Dwóch konkurentów—
„Dziewoje dwie“...

Z szumem, hałasem spada rozszalała pieśń na pochylone, stare drzewa sadu. Naraz kilka cichych akordów i... płynie coś, jakby przed chwilą wyśpiewane przez te drzewa ponure, przez to niebo fioletowe, przez ścielące się u stóp wiatru trawy... Jakaś smętna, rzewna melodja, jakby z mazurka Fryderyka, coś, co się na polskiej zrodziło glebie i z niej swe natchnienie czerpało.

Pieśń z klawiatury wyrywa się fanfarą i mknie w daleki świat!

„A gdy weselny
„Przeminął czas,
„Żegnały córy
„Swój gród i las.

„I pojechały
„Z mężami wraz
„Do nowych siedzib,
„Za gród i las!

„Umknął z samotni
„Stróż zamku bram—
„I król się został
„W zamczysku sam...

„Na bory patrzył
„Z swych zamku bram —
„I tak do śmierci
„Ciągle był sam...

„A o północy,
„Gdy księżyc lśni,
„Staremu panu
„Młodość się śni.,.

„I huk taranów,
„Zda mu się, drży...
„Staremu panu
„Młodość się śni!...

Serce bije mocniej! Z klawiatury zrywa się rozszalałe: „Presto con fuoco...“ Jakiś strach wionął na stare, zasłuchane drzewa!

„I umarł wreszcie
„Wśród cichych ścian,
„Samotny władca,
„Zamczyska pan...

Pieśń koi swe bóle wielkim akordem i zamiera w przestrzeni chromatycznymi dźwięki...

Stare drzewa stoją w tej chwili cicho i spokojnie, zasłuchane, zda się, w cudną melodję ballady, której dźwięki ostatnie drżą jeszcze na cichych liściach drzew sadu...

Na ciemne, wysokie niebo wypływa gwiazda jedna za drugą...

Cisza...

— — — — — — — — — —

Przy ciepłym kominku siedzi stara babunia i wnuczętom opowiada bajkę...

„Hej, przed wiekami
„Miał ci tu gród
„Król nad królami...“



Śmierć.



Ciche, drżące światło trzepoce się po ścianie.

...Leżał cicho i myślał o tem, że musi umrzeć. No tak, musi umrzeć! Sam przecież słyszał, jak lekarz szeptał jego żonie, że...musi umrzeć. Że...może jeszcze do lata dożyje.

No, to ostatecznie jeszcze kawał życia! Teraz dopiero zima. Ho, ho, to jeszcze kawał życia!

Bo przecież właściwie to nic strasznego. Każdy umiera.

On musi umrzeć! Umrzeć?! To znaczy: przestać zupełnie, zupełnie istnieć dla ludzi i dla siebie, To jest: tak nic, nic, nie widzieć, nic nie słyszeć, nic nie czuć,

nie kochać, nic, nic, nic! — To lepiej, to może lepiej! — No tak, ale przecież on po śmierć nie będzie wiedział o tem, że mu jest lepiej. Nie będzie słyszał, że już nic nie słyszy; nie będzie czuł, że już nic nie czuje! Nic, nic... Musi umrzeć. No, to i dobrze. Umrzeć, to umrzeć...

Aaa, te cienie po ścianach i suficie tak się dziwnie kładą, tak się mieszają ze sobą dziwnie. Te cienie... Aha, on je poznaje.... On je zna. To są długich nocy, choroby towarzysze. Nieodłączni towarzysze. On je zna. Te cienie po suficie, te cienie po ścianach. Tak, tak, jego towarzysze!

Musi umrzeć. No, tak, to nic nie szkodzi, ale...te cienie. Szkoda mu tych cieni, kto je będzie teraz widział, kto je będzie teraz rozumiał...?

Właściwie, jakby nawet teraz umarł, toby było bardzo dobrze. Jest przecież zima, śnieg pokryje groby i...tak musi być tam rozkosznie pod tem białem ze śniegu okryciem. Tak nic nie myśleć, nic, nic,

WYŻSZY INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA-WARSZAWA BIBLIOTEKA
Stowarzyszenie Zbiory T. F. C.

tylko tak sobie leżeć wygodnie pod śniegiem, tak wygodnie leżeć.

Ha, ha, tak dziwne kształty, zaprawdę, mają te czarne cienie, jakby ludzie żywi. Ha, ha, ha! Ludzie żywi...na suficie...na suficie i na ścianach. Ludzie żywi; no, nie żywi, ale tak, jakby żywi. O... o... mówią nawet, coś mówią między sobą, mówią, szepczą...

...Co one mówią?... Aha, aha, już wiem to takie proste...mówią: śmierć! No, tak. Śmierć!

Śmierć?!

Umrzeć, no to głupstwo, ale właśnie, tych cieni znajomych...szkoda!

Powinien się teraz pocieszyć, tak, tak, pocieszyć. Powinien...O, on przecież zawsze szukał pociechy w poezji. Możeby i teraz tak? W poezji. Są przecież wiersze, nawet bardzo stosowne. Naturalnie powinien się koniecznie pocieszyć... Aha, już ma odpowiednie wiersze, tak, tak...

„Bo na tym świecie
Śmierć wszystko zmiecie"...

Ee, nie, to nie to! On chce innych, takich — głupszych — pocieszających wierszy. Aha!

„Kiedy skonam, kiedy umrę,
Kiedy już nie będzie mnie,
Niech..."

Ech, on dzisiaj nie może znaleźć odpowiedniejszego wiersza. No, to może jutro. Do lata jeszcze tyle czasu, tyle czasu!

— — — — — — — — — —

Jego żona wchodzi.

To dobrze, że wchodzi, to bardzo dobrze. O, on ją tak kocha, z nią tak mu dobrze. Jego żona. Przyszła, pochyla się nad nim i patrzy. Patrzy mu w oczy. Może tam szuka oznaki śmierci? Jak ona smutnie patrzy, jak beznadziejnie, jak miłośnie! O, ona go tak kocha!.. Co ona mówi?... Aha, że będzie żył, że do lata wyzdrowieje zupełnie. Ha, ha, ha! O mało jej w twarz się nie wyśmiał. Wyzdrowieje, będzie mu lepiej — umrze. Musi umrzeć!

A te cienie czarne ciągną długim nieskończonym korowodem; ciągną od drżącego, bladego światełka lampki do ścian i do sufitu. Te czarne cienie, jego choroby nieodłączni ci towarzysze. Te cienie...

Jego żona jest przy nim. To dobrze, to bardzo dobrze. Bo przecież już niedługo będzie siadywała przy nim.

Niedługo?! — Jakto, przecież jeszcze do lata! To tak dobrze, że jeszcze tyle, tyle czasu! Jak on się z tego cieszy!

On...ale ona? — Co za głupie myśli! No, ona też się cieszy, naturalnie, bezwarunkowo, przecież go kocha...

Chociaż...

Właściwie, to ona chyba się z tego tak nie cieszy.

Chyba nie!

...Możeby...możeby spojrzeć na nią?

Śpi.

Ona śpi, biedna, bo się przecież przy nim tyle natrudziła.

Biedna, i...tak się trudzić będzie do lata?!

...Co?! Do—la—ta?!

Aaa!!! To nie można, nie można, ona tak nie może, nie wolno!!

...Tylko te dziwne cienie po ścianach i po suficie.

Ale cicho, cicho, trzeba wyjąć ze stolika rewolwer... Cicho, tylko cicho... Tak... Ona śpi—to dobrze, nie będzie widziała.

Tak, tak, nabity! No, bo przecież właściwie do lata tak ciągle nie można żyć... Właśnie, nie można. Dla niej przecież, dla niej—tak nie można! Byle prędzej!

Ha, ha, ha!

Jaka...ta lufa...rewolwerowa... zimna w dotknięciu z moją gorącą, palącą skronią.

Jaka zimna!

...Więc to tak?! To zaraz będzie — już?! To...to będzie śmierć!?

Aha, tutaj cyngiel.

...Tak, tak, trzeba tylko pociągnąć.

Aaa!! Ona — się — budzi?!

Nie, nie, nie, to mi się tak zdaje tylko, ona śpi! Byle prędzej!

— — — — — — — — — —

Pociągnąć za cyngiel...

Aaa!

Do twoich
królewskich stóp.

Wszedł do loży po ostatnim dzwonku. Jeszcze mała chwila, a podniesie się zasłona i po raz pierwszy ujrzy publiczność teatralna dziecko jego wyobraźni, dziecko jego myśli i pracy. Ogarnął spojrzeniem krzesła, loże, galerje. Wszędzie zwykła premjerowa publiczność, nigdzie znaku oczekiwania, ni wzruszenia. Jeno tuż przy nim siedząca matka wlepiła oczy w zasłonę, policzki pałają jej rumieńcem. Tam, za tą kurtyną, tam kryje się może przyszłość jej syna. Za tą kurtyną.

Usiadł i czekał. Coś mu drgało wzruszeniem nerwowo w skroni, ręce jakoś dziwnie nie chciały uleżeć spokojnie na parapecie loży.

Cicho, cichutko podnosi się zasłona. —Na tle wielkiej komnaty królewskiej, na tle złota, marmurów, kolumn—stoi piękna królewna, a wokół niej grono dziewic.

I popłynęły cudne słowa, odurzające, liryczne. Coś płynie i śpiewa, zda się, we wierszach poety, coś tęsknie i ponętnie śpiewa w ustach smutnej królewny.

On nie słyszał słów, on tylko patrzył w jej zawrotnie cudowne źrenice; on tylko słuchał modulacji boskiego jej głosu. Nie słyszał słów, on tylko widział jakieś kręgi czerwone i czarne przed oczyma, kurczowe schwycił się oparcia i patrzył...

A oto król i rycerze na scenę wyszli, oto spór o królewnę się toczy. O, onby pierwszy o nią walczył, zwyciężyłby wszystkich, jąby zdobył, uroczą królewnę...

„...Nie braknie ci róż, jaśminu,
nie braknie kwiatów, piękności,
tobie, królewno cudowna,
tobie brak jeno... miłości!...“

Czy to on w tej chwili powiedział, czy to jego słowami przemówiła dziewica z orszaku królewny?...

Zapada kurtyna. Na widowni hałas, burza oklasków. Kogoś wołają, krzyczą. A, to jego... Wszedł na scenę i machinalnie się kłaniał. Przecież nie dla nich tworzył, nie dla nich snuła się przez długie godziny bezsenna wstęga marzeń i czarów wyobraźni.—On tworzył dla niej.

„...Nie braknie ci róż, jaśminu,
nie braknie kwiatów, piękności,
tobie, królewno cudowna,
tobie brak jeno... miłości!...“

Matka witała go w loży ze łzą w oku i z jakimś dziwnym szacunkiem na twarzy. Zewsząd patrzano ku niemu. On prawie nie widział tych spojrzeń i wzruszenia matki. Wszystko mu jedno... byle ona jedna..

Pamiętał—posłał jej dzisiaj bukiet ze wstęgą czerwoną, na której widniał napis:

„Artystce dramatycznej — od autora dzisiejszej premjery“.

Znowu zasłona podnosi się i znowu snują się wiersze uroczej baśni...

„...Może przyjdzie, czy przyjedzie
jakiś wielki, dzielny rycerz,
co pokocha mnie—królewnę?...

szepcze ona ze sceny...

A śpiewak wędrowny, poeta, z dziwnym na twarzy uśmiechem, zbliża się oto do niej i mówi:

„Królewno, dostojna pani,
do twoich królewskich stóp,
przynoszę pieśń mą wędrowną“...

Przed ostatnim aktem pobiegł do niej za kulisy. Odnalazł ją.

— Królewno, — zawołał — królewno! Do twoich królewskich stóp przynoszę pieśń mą wędrowną—i serce moje kochające...

Spojrzała na niego głębokiemi oczyma, jakby ze zdumieniem po raz pierwszy te słowa słyszała od niego.

— Widzi pan—rzekła po chwili,—ja kacham pańską sztukę, upajam się pańską poezją, ale pana... nie kocham.—

Zerwał się i wyszedł...

A ze sceny szły na wielką widownię cudowne zwrotki ostatniego aktu...

...„Pieśniarzu, ja pieśni twoje
do serca biorę w miłości,
kocham je—marzenia moje,
kocham dla cudu—piękności!
Pieśniarzu, ja pieśń twą cudną
kocham, bo wiotka i rzewna —
lecz wędrownego pieśniarza
nie kocha piękna królewna!...

Sfinks.

Z KSIĘGOZBIORU EMILA BALCERA w TOMICZU

Pani

Elli Hellerowej

poświęcam.

Z dziwnym uśmiechem na kamiennej, zastygłej twarzy spogląda sfinks na wędrowca. Coś niewyraźnego i nieuchwytnego kryje się w jego licu; jakaś zagadka istnienia czy myśli wije się wokół jego pięknej głowy; sieje wokół jakiś dziwny, ponętny czar dumania, szyderczego spoglądania w znikomy świat ludzkich pożądań i celów.

Bezdenny, kamienny czar sfinksa.
Zagadka...

— — — — — — — — — —

Na otomanie leżała wysmukła postać kobieca. Egipskie kolorowe szale owijały jej śnieżno-białe ramiona, odbijając ich alabaster od swych ciemnych barw. U stóp jej, na skórze tygrysiej spoczywał wielki pies czarny, pysk swój na nodze pięknej właścicielki złożywszy. W klatce na boku spoglądała na nią kolorowa papuga australijska. Najdziwniejszymi i najbardziej rzucającymi się w oczy były dwa węże, pełzające swobodnie po podłodze, wychowane przez tę kobietę bez trwogi.

Niezgłębiona, niezrozumiała twarz kobiety nadawała jakiegoś czaru bajecznego, a wschodniego całemu otoczeniu. Coś z dziwów induskich fakirów błąkało się na jej obliczu, jakiś bezdenny, zmysłowy urok niewieści. Czarne sploty uczesania w dwóch miękich falach okalały jej piękną głowę, tworząc jakgdyby ramę cudnego obrazu. Głęboka jakaś niechęć i szyderstwo wyglą-

dało z jej czarnych, jak węgiel, oczu. Nazywano ją ekscentryczną—ale w niej było coś innego. Jakaś dziwna niemoc szła na ludzi z jej cudnej twarzy, jakieś dziwne poczucie jej siły, coś niezrozumiałego, zagadkowego, sfinksowego. Cała była zagadką. I nikt nigdy nie potrafiłby odgadnąć jej myśli, ani jej uczuć...

Leniwym, kocim ruchem zesunęła się z otomany i, schwyciwszy jednego z wężów, owinęła nim swą białą szyję. Stanęła przed lustrem z tym wężem na szyi i piersiach i uśmiechnęła się. I był to znowu ten uśmiech zagadki, niezrozumiały, dziwny, ponętny, szyderczy. Usiadła we fotelu i wolnym ruchem zdejmować ze siebie poczęła objęcia splotów wężowych.

Zadzwoniła.

— Ojciec w domu? — spytała panny służącej.

— Pan hrabia wyszedł.

Zamyśliła się na chwilę.

— Daj mi płaszcz i kapelusz—rzekła —ale nie ten, co zwykle, tylko zwyczajny.

— Jaśnie panienka na zwykłą wycieczkę?

— Właśnie.

Zarzuciła na siebie zwyczajny, szary płaszcz, włożyła kapelusz i wyszła.

Rojna ulica wielkiego miasta huczała i wrzała. Przed oczyma jej migały samochody i podjazdy, szły ogromne fale ludzi. Nie wołała samochodu, jeno szła powoli przed siebie, unoszona przez tłumy spacerujących o tej porze mieszkańców stołecznego miasta.

— Aaa... — odetchnęła — tu lepiej, lepiej, swobodniej!

Podniosła spuszczoną dotąd głowę i poczęła się przyglądać przechodniom. Nic ciekawego—jak zwykle. Na zakręcie ulicy spotkała się naraz oko w oko z jakimś mężczyzną.

— Przepraszam—rzekł, ustępując jej z drogi.

Skinęła zlekka głową i po chwili podniosła ją, idąc dalej. Mężczyzna stał na jednem miejscu bez ruchu, spoglądając

za odchodzącą. Naraz rzucił się w jej kierunku.

— To ona! — przemknęła mu myśl, jak błyskawica.—To ona! Tak, tak! Ona! To ta twarz, to spojrzenie, którego on wszędzie szukał. Tak, tak! —

Biegł szybko, aż wreszcie dogonił. Szedł teraz na kilka kroków za nią, chcąc się dowiedzieć, gdzie mieszka.

— Tak, to ona!—myślał—to ta twarz, która mi jest potrzebna do mojego obrazu!... Ta twarz...

Weszła do bramy, a po chwili i on za nią.

— Kto jest ta panienka? — spytał stróża.

— Ta panienka... to hrabianka Rega Horońska...

— Hrabianka? Tak biednie ubrana?

— Ano, ona już jest taka dziwna...

Malarz wyszedł znowu na gwarną i rojną ulicę.

— Dziwna, bo dziwna!—szeptał.

Szedł dalej ulicą, wśród huku tramwajów elektrycznych, turkotu dorożek, tłumu ludzi... Przed sobą widział ciągle te czarne, zdumiewające oczy, tę dziwnie giętką i łamiącą się jakgdyby postać pięknej kobiety... Sfinks...

Nazajutrz po południu zadzwonił do mieszkania hrabiego Horońskiego.

— Panna Rega... przyjmuje?

— W tej chwili.

Panna służąca wzięła bilet wizytowy, prosząc go, by zaczekał w saloniku.

Rega Horońska leżała właśnie na otomanie, gdy służąca podała jej bilet.

— Tadeusz Worońskі?... — nie znam go... malarz... Proś—...

Na progu stanął malarz i nizkim ukłonem powitał hrabiankę. Ze zdumieniem spoglądał na nią i na jej otoczenie. Węże podniosły syczące głowy, ale je ona uspokoiła.

— Pani wybaczy—zaczął—że nieproszony, nieznajomy, odważyłem się wejść w te progi...

— Ależ proszę, bardzo mi przyjemnie...

Wyciągnęła do niego swą białą rękę.

— O ile sobie przypominam—rzekła —widzieliśmy się wczoraj na ulicy?...

— Właśnie, dlatego przyszedłem. Jestem malarzem, proszę pani i szukam wszędzie twarzy, nadającej się do mego obrazu... i właśnie—znalazłem ją u pani... Jest to niebywała śmiałość z mojej strony...

— A jaki ma być tytuł obrazu?

— Sfinks...

Zaśmiała się krótko, nerwowo.

— Dobrze—odparła — będę pańskim sfinksem!

Szła od niej jakaś dziwna, ponętna, wschodnia piękność; jakiś dziwny, egzotyczny urok, upajający, jak zapach róż, ponętny, tajemniczy... Szedł od niej błysk jakiegoś żaru jej duszy, jakiś szept tajemniczy, jakieś odwieczne, boskie dumanie... Szła od niej w mrokach zasnuta tajemnica wszechbytu, jakaś tęsknota do ciemności...

Wstała z otomany i przeciągnęła się leniwie.

— Przyjdzie pan jutro malować? — spytała.

— Przyjdę, pani.

Wstał, skłonił się i wyszedł.

— — — — — — — — — —

I zaczęły się dla niego potężne dni twórczego natchnienia. Zaczęły się dni przebłysków świetlnych a ogromnych, omroczonych jeno tajemnicą jej dziwnej twarzy, jej wewnętrznym ogniem źrenicy, jej splotami kruczych warkoczy. Schodził mu dzień za dniem w tej gorączce twórczej, w upojeniu artystycznem, w myślach i marzeniach o odtworzeniu jej twarzy. A ona była co chwila inną, co chwila bardziej zagadkową i bardziej tajemniczą. Raz wydawała się malarzowi kochającą, raz nienawidzącą go, raz obojętną. I tak upływały mu dni. A obraz rósł coraz bardziej. I z płótna malarza szedł jakiś dziwny, niezrozumiały czar zagadki, niezrozumiały,

mistyczny urok piękna, tajemnica kobiety —sfinksa.

Razu jednego, gdy malując, spojrzał na nią, ujrzał w jej twarzy jakiś ponętny uśmiech, jakieś obiecujące wiele spojrzenie, spojrzenie miłości. Zerwał się z miejsca i szepnął, oczarowany:

— Rega...

—Jak pan powiedział? — spytała z zimnym uśmiechem.

Cofnął się przerażony i znowu usiadł przed stalugami. Nie mógł już malować. Pochylił głowę i czuł, że tej zagadki nigdy już chyba nie rozwiąże. W tej chwili ona wolnym, leniwym ruchem zesunęła się z podjum, ujęła jego głowę w swe białe dłonie i szepnęła cichutko:

— Kocham cię, wiesz?...

I przychyliła się do niego miłośnie, a pociągająco. Schwycił ją wówczas w objęcia, a ona przechylała powoli głowę wtył, unikając pocałunku, a na twarzy mając ciągle jakiś dziwny uśmiech miłości, kuszenia i tryumfu.

Naraz wyślizgnęła mu się z objęć i powróciła na podjum.

— Pan będzie łaskaw malować dałej —rzekła z zimnym uśmiechem na swej bladej twarzy.

Zerwał się i wyszedł.

— Jaka ona jest?! Jaka ona jest?!— dla mnie, ta dziwna kobieta?! Ta zagadka?... ten sfinks...

— Będę pańskim sfinksem!—mówiła wtedy—i była. Ale nietylko z obrazu, ale i w życiu jego była mistycznym uśmiechem szczęścia i nieszczęścia, była zagadką bez rozwiązania, była snem i jawą. Widział ją przed sobą piękną i odurzającą zmysły, widział ją z wyciągniętemi ku niemu ramionami, to znów odpychającą go od siebie, widział ją z tym uśmiechem tajemniczym na ustach, tajemniczym a pociągającym.

Nazajutrz, gdy przyszedł do niej, rzuciła mu spokojne pytanie:

— Pan dzisiaj pewnie nie będzie mnie malował?

— Nie będę.

I milczeli oboje: on z pochyloną, posępną twarzą, ona ze swym zagadkowym, dziwnym uśmiechem.

— Pani—wyrzekł wreszcie—przyszedłem zapytać się...

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Przyszedłeś się spytać?—wyszeptała lubieżnie i cicho.

Zadrżał.

— Przyszedłem się spytać pani, jaką... ty właściwie jesteś... jaką?!

Milczała, jeno się uśmiechała dziwnie, ponętnie a tajemniczo. Węże wiły się z cichym szelestem po bogatej wschodniej otomanie, papuga zcicha gadała, story i portjery czarownym mrokiem napełniały buduar kobiety...

— Rega!—krzyknął — Rega! ty mnie zabijasz! Rega!

Milczała dalej, jeno się wciąż uśmiechała dziwnie, ponętnie a tajemniczo... I dalej węże wiły się z cichym swych ciał szelestem, a papuga z cicha gadała.

Rzucił się ku niej.

— Rega! powiedz, jaką ty jesteś?! Rega, czy ty mnie kochasz, czy nienawidzisz?! Rega, odpowiedz!

Milczała dalej...

W oślepieniu rzucił się ku obrazowi swojemu, zerwał płótno ze stalug, rzucił na ziemię i począł deptać twarz tajemniczego sfinksa.

— Co pan robisz?—rzuciła spokojnie.

— Ja?... Zabijam, zabijam zagadkę mego życia! Mego sfinksa zabijam!

Zaśmiała się naraz nerwowo i krótko.

— Rega! Rega! Powiedz, czem ty jesteś dla mnie? Rega?!

Rzucił się ku niej z wyciągniętemi błagalnie ramionami. A ona śmiała się, śmiała coraz głośniej i weselej. Aż pod. niosły głowy syczące zcicha węże, aż papuga głośniej zagadała.

— Ty mnie zabić nie możesz.. nie możesz...—rzekła, śmiejąc się ciągle.

— ...Bo ja... jestem twoim sfinksem, malarzu!...

— — — — — — — — — —

Z dziwnym uśmiechem na kamiennej, zastygłej twarzy spogląda sfinks na wędrowca...

W letnią noc.

Męskim, silnym ramieniem objął jej wiotką kibić i stali tak na tarasie, wpatrzeni w cudne, włoskie niebo... Naokół cisza.

W podróży poślubnej przybyli do Włoch. Nocą już zajechali do hotelu, ale spać się nie kładą, tylko tą cudną upojeni nocą, stoją przy sobie i w ciszy marzą.

— Kochasz mnie? — drgają jej usta.

— Kocham!—szepcze on i namiętnie przyciska ją do piersi.

I trwają tak razem w uścisku złączeni, wpatrzeni w jasne, włoskie niebo.

W migocące gwiazdy spoglądają, co światłością swoją zdają się śpiewać hymn nocy tej wielkiej, potężnej, ogromnej, a jasnej...

Na drogi mleczne spoglądają, ku górze, a w sercach tak im coś gra, coś gra przepotężnie, jak organy, i jak dźwięk ich, tak ich serca korzą się przed Panem w wielkim akordzie miłowania.

Coś im się z piersi rwie we wspólnym locie i tam, ku wyżynom szybuje!

* * *

Na taras wszedł młodzieniec, wolnym krokiem zbliżył się do balustrady i nie widząc młodej rozmarzonej pary, zagłębił oczy w cieniach nocnej ciszy. Miał cudne długie włosy, opadające mu na ramiona i oczy błękitne, jako ten lazur włoski nad nimi...

Mąż spojrzał na młodzieńca, przechylonego przez balustradę.

— Kto to? — pomyślał.

Gdzieś w oddali jękliwie zawodziła gitara, a wszędzie cisza, cisza niezmierzona...

Oczy błękitne młodzieńca zagłębiają się coraz bardziej w ciemnię nocy, jak zagłębiają się oczy filozofa w cieniach ludzkiego żywota.

Długie złote włosy zwisły mu przez balustradę i nie ruszały się w cichym powietrzu... Jak sztandar wisiały młodości, pełnej malancholji.

— Jam go już widział kiedyś, dawniej, gdym był młodszy jeszcze—pomyślał mąż.

I stał tak młodzieniec, oparty o balustradę i dumał. A za nim para marzycielka—w jasną noc włoską stała na tarasie w zadumie.

A oto cudny młodzieniec zwolna podnosi głowę i głębokie źrenice zatapia w zakochanej parze. Uśmiech ironiczny przemknął przez oblicze i zniknął natychmiast.

Wolnym krokiem zstępuje po stopniach i wchodzi do swojego pokoju na dole.

— Kto to?—pyta niespokojnie żona.

— Nie wiem... ale go znam. Już dawno, dawno, dawno! Ja go znam! —

...Cisza.

I naraz ciche powietrze przedarły jakieś dźwięki. To fortepian na dole grał: skarżył się i płakał w swym ogromnym, klawiszowym bólu.

— On gra! — szepnął mąż.

— On gra!

Słuchali z zapartym tchem, coraz smutniejsi...

...A pieśń na dole grzmiała pogrzebowym dzwonem, huczała minorowym dźwiękiem i z klawiatury szła przeogromna w tę wielką ciszę nocy, w to wielkie, jasne niebo.

Huczała hymnem boleści, pieśnią beznadziejnej rozpaczy.

Jakby dusza artysty śpiewała hymn prawdy życia w niebo.

— Takiem jest życie! — jęczał fortepian.

— Takiem jest życie—mówiła pieśń...

...— Dlaczego on tak gra?...—

I znowu cisza, przerywana tylko natchnioną grą artysty.

A para na tarasie słucha i milczy. Coś im na twarzy położyło stygmat tej prawdy życiowej, tego smutku, co z dołu szedł ku nim w wielkiej harmonji dźwięków minorowych.

Coś im smutek pokładło na dusze.

— Kochasz mnie?—probuje ona.

—Kocham...—szepczą bezwiednie jego usta, ale już namiętnie nie przyciska jej do piersi.

Jakiś smutek wionął na nich z tej gry, jakaś wielka i głęboka tęsknota z głębi ich serc do życia; coś na nich szło z odmętów dźwięków i pogrążało ich powoli w ciemnej nocy żywota.

A muzyk grał.

Dźwięki coraz szybsze, coraz szybsze. Jak z olbrzymiego chaosu tonów, szła cudna w świat melodja i zabierała w swo-

je objęcia i sad, i niebo, i taras i tę rozmarzoną, smutną parę.

Ale oni już nie obejmują się miłośnie. Stoją z wypiekami na twarzy i gorączką w oczach, przechyleni przez balustradę...

— Co będzie?! Co będzie?! —

— Ale oto melodja cudowna zadrżała, zda się, w posadach minorowych. Jakby złośliwe, chichotliwe duchy przebiegały przez klawisze...

— Co to?! Czy śmiech!?

— — — — — I kończy się cudna pieśń artysty śmiechem zawrotnego staccatta.

Z legend starego pałacu.

Szanownemu Panu
Dyrektorowi Wacławowi Klossowi
poświęcam.

Posępnych lilji niepokalana białość, dziwnym i ponętnym urokiem smutku przepojona, śle ciche, mroczne, nieśmiałe spojrzenia na stojący wyniośle pałac murowany. Pełne rozkosznego przesytu królowe kwiatów, róże, ślą odurzający wiew zapachu ku ponurym, choć białym ścianom; łzawem okiem na spieczone, samotne spoglądają ścieżki; cicho a rozkosznie pieśni miłosne śpiewają. Prężą się jasne, żółte chryzantemy ku wysokiemu, dalekiemu, niebu, ku słońcu; wielkimi kielichami nabierają życiodajnego światła...

Pałac wyniosły, a chmurny w dzień— wesoły i huczny wieczorem, stoi teraz cichy i poważny, wewnętrznem życiem słabo pulsujący, na daleką okolicę magnackiem spoglądając okiem. A wewnątrz pałacu w dzień panuje cisza. Ledwo cichym szelestem przesuwają się postacie lokajów, ledwo dotkną portjery cichym pocałunkiem podmuchy letniego wiatru; cicho i posępnie siedzi młody pan starego pałacu na wielkim tarasie. Towarzyszy młodości jego chmurnej i bujnej niema przy nim, zjawią się oni dopiero wieczorem i do rana gościć będą w starym pałacu.

Wznosić będą pełne wina rzeźbione kielichy, śpiewać pieśni będą wesołe, hulaszcze; rzęsiste światła oświetlą daleką okolicę.

Szaleje młody pan! Zewsząd sprasza gości na huczne biesiady, zewsząd wina przedniejsze sprowadza i muzykę, aż się trzęsą stare mury pałacu w noce letnie pachnące i cudne.

Szaleje młody pan! Już mu przesyt położył swe piętno zniszczenia na twarzy, zawcześnie przybladłej, i jasny uśmiech zagasił.

Szaleje młody pan! Psuje się dusza potomka słynnych rycerzy i obywateli, niszczy się piękno, w każdej ludzkiej zawarte duszy...

...Powolny zachód słoneczny na rozognionem niebie ostatnimi blaskami promieni cudnie się rozigrał. Ostatnim blaskiem szczerego złota zlekka całuje stare mury pałacu — niegdyś obronnego zamku, rozchylone listki róż, wyniosłe lilje, żółte chryzantemy i pochyloną głowę młodego pana. Powoli i cicho ciemny mrok melancholijny zakrada się do zaułków pałacowego tarasu i długie, wązkie pasma cieni ściele młodemu panu pod stopy.

Klasnął naraz w białe a wypieszczone dłonie młody pan. Na pałacowym tarasie w kornej postawie stanął lokaj.

— Nie zastawiać dzisiaj w sali biesiadnej stołów zwierzyną, wina z piwnic

nie wyciągać. Chorym dzisiaj i gości przyjmować nie będę!

Z ledwo widocznem zdziwieniem na twarzy skłonił się stary sługa... A młody pan w zadumie się zagłębił.

Powoli ginie wielka rozogniona tarcza słoneczna na dalekim widnokręgu, szare cienie pełzają dziwnie po tarasie, w zaułki wciskają się, kładą się na twarz młodemu panu. Wielka i cicha godzina wieczornego mroku przeradza się w noc.

A młody pan, zapatrzony w ciemnię zbliżającej się przemożnie nocy, siedzi na pałacowym tarasie i śni. Na wyniosłe, młodzieńcze jego czoło zstępują zwolna mroki, między rzęsy oczu się wciskają i bladą twarz trupią oblekają szarością.

Siedzi i śni...

Kędyś, daleko, daleko, z pod czarnej linji widnokręgu, długą i wązką wstęgą wstają dawno zapomniane postacie ojca i matki, za nimi stąpa dziad jego stary — wszyscy dawno w grobach rodzinnych na wieki złożeni.

Zali się wieko grobowe podniosło, zali otwarły się wierzeje śmierci i na świat trupy, jako żywe, wychodzą, i patrzą... i mówią...?

Niemieje i obumiera serce młodego pana. Zda mu się oto, że dzień sądny i obrachunek sumienia nadchodzi, że go rodziciele właśni sądzić dziś mają. A senne wizje ogromnieją i potężnieją z każdą chwilą, zbliżają się do niego cichym korowodem aż pod sam taras, kędy z rozszerzonemi z przerażenia źrenicami siedzi i patrzy.

A naprzód oto ojciec wystąpił, wiodąc pod rękę matkę. Przed synem wybladłym stają. A matka, białą wyciągnąwszy doń rękę, cichemi, jak śmierć, słowy rzecze:

— Synu mój, oto na tamtym świecie doszły nas wieści straszliwe, okrutne, jak miecz, kolące. Ponoś shańbił stare gniazdo rodzinne nasze, ponoś na swawoli i hulance strawił młode lata...

Zżyma się serce synowskie na te słowa matczyne. Milczy przecie i, pobladły, słucha.

— Synu,—rzecze ojciec—nie sromno ci zali hańbą imię wielkich rycerzy plamić, od korda przynależnego odwyknąć, wielkości przepomnieć!?

Na te słowa ojca pobladła bardziej jeszcze twarz młodego pana. Milczy przecie i, coraz bledszy, słucha.

Zbliża się dziad doń stary, w pancerzu świecącym. Siwa broda zwiesza mu do piersi, prawicę wzniósł przed się i rzecze:

— Waszmość na biesiadach jeno i na przekamarkach z dziewkami czas spędzasz?! I myśmy zbyt hucznie gościli się winem, i myśmy czas nieraz przy biesiadnym trawili stole, — jeno że okrom tego umieliśmy bronić i radzić w radzie. Zali tyś same grzechy po nas odziedziczył?! Hańba ci!!...

Powoli znikają za tarasem pałacowym cienie zmarłych ojców. A młody pan siedzi i milczy, a twarz trupią pokryła się bladością.

A oto z pośród cieni zbliżającej się nocy nowe senne zjawia się widziadło. Cień osoby kochanej i znanej, cień dziewoi w bieli i kwiatach. Cicho i powoli zbliża się jasna postać do młodego pana.

— Umarłam, Ludwiś, umarłam. Nie zdzierżyło młode serce moje zawodów i mąk i poszło szukać w śmierci zapomnienia. Lecz nie znalazłam spokoju i tam. Ludwisiu, przez moją miłość ku tobie, błagam cię oto w godzinie mroku i ciszy, weź w duszę ognie twych dziadów. Przez miłość moją zaklinam!!...

Zerwał się młodzian i ku dziewczynie ramiona wyciągnął.

— Dziewczyno!! Kochanie!!

Jak długi legł u stóp sennego widziadła.

...A nazajutrz, skoro świt, wsiadł młody pan na konia i ruszył.

I nie widziano go odtąd w pałacu — ponoć zginął gdzieś w dalekiej walce.

— — — — — — — — — —

Na wysokiem łagodnem wzgórzu widnieją ruiny starego pałacu. Dzikiemi zielskami porosłe mury i kamienie, głęboko w ziemię zaryte, zdają się gwarzyć i opowiadać o dawno minionej przeszłości.



Pani Radość.

Hen, daleko, daleko, w obłokach nad górami mieszka pani Radość, wielka, potężna i bogata pani.

Ma ona wiele, wiele służebnic, zawsze uśmiechniętych, zawsze wesołych. Służebnice te zwą się: Uciechy. Ma pani Radość i niewolników wielu; zwą się Radośni.

I siedzi wielka pani Radość na wysokim tronie z chmur szarych, i z wysokości podniebnej swojej gońców śle: Uciechy i Radosnych, do mieszkańców nizin ziemskich—smutnych, nieszczęśliwych nizin.

A ilekroć potężna pani spojrzy na padoł ziemski, co pod nią smętną płasz-

czyzną szarzeje—tylekroć łzami współczucia zachodzą jej wesołe, mądre oczy królewskie i skinieniem śnieżnej dłoni zesyła rój sług swoich do ludzkich siedzib. A Uciechy i Radośni na skrzydłach Uśmiechu zlatują na dół, tam u ludzi mieszkają czas jakiś i wracają do królowej swej i pani.

I opowiadają Radości o smutkach i nieszczęściach ziemi szarej, o jej strasznych boleściach i beznadziejnych rozpaczach, o jękach i okrzykach męki. A pani Radość słucha i szlachetne jej oblicze powleka na chwilę smutek...

I tak zdarza się często, że słudzy wielkiej królowej na szarą ziemię zlatują, a później w smutku do pięknego powracają kraju.

A piękny zaprawdę jest kraj królowej Radości, piękny i wesoły!

— — — — — — — — — —

Zdarzyło się pewnego razu, gdy słudzy pani Radości do ziemi jej powrócili,

że, stanąwszy przed nią, tak do niej mówić poczęli:

— Przepotężna królowo, pani ludzkiej radości! Wracamy dzisiaj z padołu ludzkiego, z ziemi smutku i bólu, tęsknoty i żalu, płaczu i rozpaczy! Wracamy dzisiaj od rodu ludzkiego, biednego, nędznego, rodu, co w pracy i rozpuście swój żywot jednostajnie ciągnie... I widzieliśmy domy bogaczy ziemskiego padołu; dumne, przepotężne domy widzieliśmy, rozmiarem się swoim i bogactwem chełpiące, jako i ich właściciele... I widzieliśmy domki małe a ubogie — ludzi biednych—skromne, małe domki.

Byliśmy w chatach włościan i w pałacach możnych magnatów.

Na ślubach i nad trumną.

Na tańcach i na stypie.

Na chrzcie i na pogrzebie...

Ale, o przepotężna królowo, pani ziemskiej radości—mało gdzie widzieliśmy sługi twe: Uciechy i Radosnych.

O, ześlij nas do nich ze słowem twojem, królowo! Pozwól zanieść im promień

twój, uśmiech przywrócić zbladłym ustom ludzi! Niech nie napróżno wyczekują sług twoich, niech nie napróżno wyciągają dłonie ku tobie! Błogosław nam, królowo, i daj nam swój promień!... —

Tak mówili słudzy pani Radości. A ona zasmuciła się i odrzekła po namyśle:

— Znijdźcie więc na skrzydłach Uśmiechu na padół ziemskiej nędzy i czyńcie powinność swoją! Niech oczy, bólem osłupiałe, szczęściem rozbłysną, niech skrzywione strasznym bólem usta rozjaśnią się w uśmiechu prawdziwej radości! Idźcie więc i czyńcie powinność swoją!...

A wysłańcy pani Radości do stóp jej skłonili się, szczęśliwi, że dobro mają czynić na ziemi i na szare równiny zeszli...

Szli długo, długo przez krainy puste przez uprawne pola, zbożem rozmaitem pokryte, przez wioski nędzne i szare, przez wioski nędzne i szare, przez miasta wielkie i gwarne. A wszędzie, kędy tylko stopy swe kierowali wysłańcy królowej

Radości, — wmiast płaczu — rolegał się uśmiech, wmiast jęku—śpiewy radosne.

I cieszyli się mieszkańcy biednych chat i wyniosłych pałaców, że oto wysłańcy królowej Radości do nich—ziemian zawitali.

A pani Radość, na wysokim tronie z szarych chmur siedząca, patrzyła na dół, widziała sługi swoje i cieszyła się, że dobro czynią.

Wędrowali, wędrowali długie dnie i noce piękne Uciechy i wynioślі Radośni.

Serce im się z radości rozpierało w piersi, że oto za nimi nie płacz i jęki, lecz radosne okrzyki i wesołe śmiechy biegną...

I oto pewnego dnia zaszły piękne Uciechy i wynioślі Radośni do wielkiego pałacu bogacza. Niespostrzeżeni przez nikogo wsunęli się do przedsionka.

Wysokie pokoje pałacu i bogate materje na ścianach wysokich zatrzymały ich na chwilę...

— Nie chodźmy lepiej tutaj, — rzekł jeden z Radosnych—tu chyba nikomu nie

braknie sług pani naszej potężnej, Radości! —

Ale jedna z pięknych Uciech zaprzeczyła.

— Czekajcie, nic pewnego wiedzieć nie można—rzekła—toć dobrze wiecie sami, że i w najbogatszych pałacach i zamkach magnatów smutek częstokroć się kryje! —

Uznali wysłańcy królowej prawdę słów Uciechy i szli dalej, aż dotarli do wielkiej, bogatej sali, oświetlonej wielkim pająkiem i licznymi kandelabrami.

W pokoju tym siedział starzec, bogato ubrany, pan tego pałacu, a przy nim inny jakiś mężczyzna, który był doktorem.

I usłyszeli naraz drżący, płaczem nabrzmiały głos starego pana pałacu.

— Panie doktorze—mówi—toć to syn mój jedyny tam leży, syn, który ma po mnie mienie moje i nazwisko moje dziedziczyć. Ulituj się, panie doktorze, wyratuj mi go ze szpon strasznej śmierci, co już czycha na niego, przeklęta! Wy-

ratuj go, doktorze, a wynagrodzę cię, według żądań twoich!

— Trudno to, bardzo trudno, bo chory on jest... śmiertelnie... śmiertelnie... chyba, że cud jakowyś go uleczyć zdoła...

Zapłakał gorzko starzec... a doktór westchnął, postał jeszcze chwilę w smutku, aż wreszcie wyszedł, pozostawiając starca, pogrążonego w beznadziejnej rozpaczy.

— Syn mu śmiertelnie chory! — szepnął któryś z Radosnych.

— Syn mu chory...

I weszły służebnice i słudzy pani Radości do przyległego pokoju. Ujrzeli tutaj leżącego na bogatem posłaniu pięknego młodzieńca, bladego, jako śmierć sama, z wielkiemi wypiekami na twarzy i zamkniętemi oczyma.

— Biedny starzec—szepnęła jedna z Uciech—nic go już pocieszyć nie może..

Westchnęli biedni słudzy pani Radości. Zrozumieli teraz boleść starca, straszną, nieutuloną boleść!

Aż naraz zawołał jeden z Radosnych:

Uzdrówmy go, mocą nam nadaną, uzdrówmy czemprędzej tego młodzieńca, a prawdziwą, zaprawdę, radość sprawimy jego ojcu.

— Uratujmy go!—krzyknęli wszyscy.

I wyniośli Radośni i piękne Uciechy —wszyscy zabrali się żywo do dzieła...

Skutek ich czynu był wielki... Bo oto młodzieniec po chwili otworzył piękne oczy i uśmiechnął się. Wstał rzeźko i swobodnie z łoża choroby swojej, przywdział stroje swe bogate, młodzieńcze loki uczesał i czuł się zdrowym.

A w przyległym pokoju ojciec jego stary siedział pogrążony w strasznej rozpaczy i płakał...

Młodzieniec wyszedł do pokoju, w którym siedział jego biedny ojciec, a ujrzawszy go płaczącego zawołał:

— Ojcze, nie płacz już więcej! Syn twój żyje i zdrów jest!

Lecz starzec nie słyszał słów tych i i wielkie łzy spływały mu po wyschłem, steranem obliczu...

— Ojcze — powtórzył młodzieniec, podchodząc—patrz, toć zdrów jestem zupełnie i nie masz powodu się obawiać się mojej śmierci.

Wówczas starzec podniósł głowę siwą, a ujrzawszy syna swego, naprawdę zdrowego, krzyknął strasznie... i padł martwy u stóp ozdrowionego młodzieńca.

...Lekarze orzekli, że zmarł... z radości!

— — — — — — — — — —

A Uciechy i Radośni powędrowali dalej, smutni, że oto, sprawiając radość — sprawili nieszczęście.

Chłopska tragedja.

Wyniosła i wysmukła była, jako łania. Pobłogosławił jej Bóg urodą nad podziw ludzki: cudne miała oczy niebieskie, włosy długie, faliste, złote, rozpuszczone na plecach i ramionach. Wychowała ją matka — natura w piękności i świeżości jagódki leśnej, a Ojciec — Bóg, łaskawie spoglądał na nią z wysokości niebios jasnymi promieniami słońca. I rosła Hanka we wsi rodzinnej i w ojcowskiej rodzinnej zagrodzie. Jedynaczką była u rodziców, nie dziw więc, iż, jako oczka w głowie, strzegli tej swojej curusi złocistowłosej.

I rosła tak Hanusia, rosła złocista, z tą przyrodą wiejską skojarzona. Tak czysta—jak ona, tak prosta i jasna, jak ona.

Było to pod wieczór, gdy Hanka zganiа gęsi z pola i do domu wracała. Łuna biła od zachodzącego słonca i wielką czerwonością pokrywała stodoły i chaty, pola i łąki, bory i tych ludzi, co po trudzie do domu wracają.

Szła Hanuś przez wieś do chaty i śpiewała piosenkę, a lekki wietrzyk to zakołysze jej włosami złotemi, to podniesie je wysoko...

„Gęsi sobie pasę,
„Mam na liczku krasę,—
„Gęsi zagnam do dom,
„Z chłopakiem pogodom"...—

Leciała piosenka jasna i czysta przez te zagony, przez łąki. Szła aż pod niebo, gdzie ta zorza jasna biła płomieniem... Szła piosnka czysta i jasna w niezmierzoną przestrzeń świata, aż zasłuchała się łąka,

aż zasłuchał się wczesny i blady sierp księżyca, co już na niebie był widoczny..

Szła Hanuś i śpiewała...

„Z chłopokiem pogodom,
„Przyjdą swaty do dom,
„Ojcom się pokłoniom“,
„Ojce nie zabroniom... —

Aż oglądali się za nią, tak ładnie śpiewała i taka cudna była w czerwoności zachodzącego słońca.

Wchodziła właśnie w zagrodę. Na progu chaty siedział stary Karaś i przyjaźnie uśmiechnął się do wchodzącej córki. Toć aż jaśniej zrobiło się w jego sercu.

A ona jeszcze śpiewała:

„Pospsontają wsendzie,
„I wesele bendzie,
„Piwo i wódecka,
„Chłopak i dziewecka“!...—

Urwała się wesoła nuta śpiewki, bo oto i śpiewaczka zniknęła gdzieś w obrębie zabudowań gospodarskich. Gonił za nią

jasnym wzrokiem stary Karaś, uśmiechał się mruczał:

— Zachciało się, zachciało ci! Kocha trocha jesce. Wydonzys... —

A po chwili:

— Ano, dzieucha mo już szesnaście roków...—

I jakoś smętniej spojrzał w stronę, kędy przed chwilą zniknęła kraśna samodziałowa sukienka Hanusi.

— Ej—westchnął — Bóg ją ino wie, cy długo tu u nas posiedzi...—

I zadumał się stary głęboko. Zaszło wielkie słońce za stodoły i chaty, poszło, jako i ludzie, na spoczynek po pracy całodziennej. A stary Karaś siedział i dumał, zapatrzony w tę czerwień niebios o zachodzie. Coś mu tam w duszy gra i jęczy rzewnie.

Żeby choć syn, choć jedynak... —

I znowu tęsknota posyła spojrzenie ku zabudowaniom gospodarskim. Samotna starość mu przyjdzie ze swoją Jagną. Odchowali i teraz wypuszczają na świat.

— Ano, wola Boska! — splunął stary i powstał z progu.

Wracali z krzykiem i śpiewem parobcy, po chałupach się rozeszli, i jeszcze tam gwar niedługi, aż wreszcie—cisza.

Ciemno już w chacie Karasiów, śpią wszyscy snem głębokim a sprawiedliwym. Ino Hanusi jednej nie śpi się czegoś. Stoi przed progiem chaty, oparta o drzwi zamknięte; włosy się jej wokół szyi rozleciały, koszulina rozchłestała na piersiach... I stoi tak cudna, złoto-włosa Hanusia i duma.

O kochaniu może, o kochaniu...

A z pola zapach idzie ku niej cudny, letni zapach skoszonego zboża.

Nie śpi się czegoś Hanusi. W niebo patrzy, miljonami świateł błyskające, na pola dalekie i wielkie, na chaty ciche i śpiące—i duma. A zapach z pola odurza ją, rozmarza.

— Żeby też tak kogoś na świecie bardzo, bardzo ukochać!—myśli sobie złoto-włosa Hanusia.

— Żeby tak ktoś! — jęczało jej w duszy skargą i radością razem.

— Dobry wieczór, Hanuś, nię śpicie jesce?...—

Obejrzała się. Niedaleko chaty, oparty o ogrodzenie sadu, stał wyrosły, wysmukły młodzieniec, parobczak i spoglądał na Hanię.

— Dobry wiecór...—odparła.

— Ze tez tak późno stoicie jesce, Haniu, nie śpi się wam, co?...

— Nie śpi...—szepnęła cicho, ale on ją posłyszał i patrzył na nią, patrzył i zdawał się podziwiać jej wzrost, jej włosy, jej twarz przecudowną... Coś nagle jakby żarem oblało go i do miejsca razem przykuło.

— Tak pachnie z pola, tak pachnie! Prawda, Antku?—rzekła.

— Taka ślicna nocka dzisia—szepnął parobczak.

I stali tak cicho, spoglądając to na siebie, to na wysokie, świecące niebo. Melancholja wionęła na nich swym tchem,

owinęła ich serca całunem dumań... i stali tak niedaleko siebie, milczący, zadumani, nieskorzy do rozmowy.

Od pól szła coraz większa woń zboża, coraz cudowniej było na bożym świecie.

Cisza... cisza... cisza...

— Tęskno wam, Hanuś, tęskno i ckliwo—szepnął znów Antek.

— Tęskno—odparła.

— Jak taka nocka nadejdzie, to ino człowieka cosik rozbiera, jakaś żałość, jakiś smętek...—mówił dalej.

— A tak... jakiś smętek...—przytaknęła znowu.

— Bo to widzicie, Hanuś, czasem i mnie tak tęskno, tak ckliwo, ot, jak dzisia naprzykład.

Tak pomyślę sobie ze to ni ojca juz nie mom, ino matulę jedną... A tak... nikogo, nikogo na całym świecie... gdyby... Jak se pomyślę, to zawdy smutno się robi na dusy... A jesce taka nocka tęskliwa!

Słuchała, jego szeptu chciwie, jak się słucha w ciszy bicia własnego serca.

Cicho było we wsi całej.

Ino te gwiazdy wysoko siedzą i mrugają. Ino zboże pachnie i odurza. Ino serce szalenie bije w łonie dziewczęcem i wyrywa się ku górze na wolność, na wolność!

Ino ta dusza gra pieśń tęsknoty wielkiej za życiem, za miłością!

Słuchała Hanusia Karasiówna mowy Antka i dumała... O niebie, o ludziach o miłości.

— Hanuś, cego tak dziś milcycie?...

— Tak coś na mnie zesło z tego nieba jasnego, — zagrało mu w uszach,— tak dzisia tęskliwo, Antek.

Obudził się jakiś ptaszek w gałęziach drzew sadu, zatrzepotał skrzydełkami, zapiszczał... i znowu cisza.

— Tak coś na mnie opadło i trzymo, — szepce ona dalej i pochyla jasną twarz ku ziemi, a złote włosy w cudnym nieładzie rozsypują się po jej piersi,—tak mi coś smętno, takam sama na świecie

dzisia... Ale to nic... to tak i sobie pójdzie... psendzie.—

Westchnęła złoto-włosa Hanusia.

— Bo to wam jesce źle na świecie?, ździwił się parobczak,—jesce wam ta cego braknie?...—

— Nie braknie mi nicego, nicego.., ino... —

— Ino cego? —

— Ee...—zaśmiała się—nie dopytujta się tak, nie powiem i tak, bośta mi ni brat, ni krewny, ni ociec... —

— Nie ociec wam jestem, Hanuś! alem wam sceze życzący... powiedźcie... —

Zasmęciła się czegoś znowu.

— Ano, — odparła powoli — czasem pomyślę, że mi kochania brak...—

Pochyliła niżej jeszcze jasną głowę i stała tak w aureoli złotych włosów, oświetlona gwiazdami.

— Kochanie psyjdzie — szepnął on i spojrzał na nią jasnemi oczyma, — już je nie wołajcie... psyjdzie samo. I dosyć jesce namęcy wam serce! —

— Ee... nie bojam się! — uśmiech przemknął po jej twarzy.

— Nie boicie się, bo nie wiecie.

Dobranoc wam, Hanuś, śpijta z Bogiem!—zabierał się powoli do odejścia.

— Już idziecie?—

— A tak lepiej, ze pójdę... Dobranoc wam. —

— Dobranoc. —

Została Hanuś sama przed chatą.

Postała jeszcze tak małą chwilkę, obejrzała się raz jeszcze na ziemię i niebo i wolno, bez szelestu wchodzi do chaty.

Leży Hanusia, ale nie śpi. Myśli i myśli i myśli. Aż oczy cudne owinęła włosami, bo może tak prędzej uśnie, ale nijak spać dzisiaj nie może.

Księżyc już połowę swej drogi przepłynął, gwiazdy zaraz blednąć poczną... cichutko wszędzie...

Nie śpi się Hanusi złoto-włosej.

— Kochanie psyjdzie... — myśli. — Pewnie, ze psyjdzie, ale kiedy?... Ten An-

tek taki miły... tak, ino ona go nie kocha... To nie jest jesce miłowanie...—

Nie śpi się jakoś Hanusi złoto-włosej...

II.

Jesień wsi polskiej, żółta, cudna jesień. Złocą się liście w słońcu zamglonem, złocą się rżyska w słabem jesiennem słoneczku. Pohula czasem wiatr po polu, zawyje i znowu ulegnie gdzie w rżysku.

A po polu chodzą szare wrony, a skrzeczą, a paradują.

Jesień cudowna, jesień złocista wsi polskiej.

I w taką to złocistą porę roku przyszło kochanie dla Hanusi... Ignacy, syn gospodarski...

I w taką to złocistą porę roku odbyły się zrękowiny Hanki Karasiówny z Ignacym. Odbyło się, jak należy, ze śpiewami, ze swatami, z wódką. Wziął syn gospodarski córkę gospodarskę, obaj sobie równi, młodzi i jednacy.

— Wszystko, jak się przynależało! — mówiły stare gospodynie wiejskie,—równy wziął równą. —

I starzy Karasiowie, choć im i smutno było, że się niezadługo przyjdzie z córusią rozstawać, cieszyli się z tego wraz z młodymi.

Chodził ojciec Hanusi po szerokiem polu i myśli a myśli nad tym bożym światem. Wychowała się Hanuś na cudną dziewoję, wyrosła nad podziw ludzki, a oni z nią zżyli i pokochali, a teraz im się rozstać ze sobą przyjdzie... na starość.

— Niech ta ino na scenście!—myśli stary i dalej idzie a idzie po rżyskach ściętych, po miedzach, po dróżkach znajomych.

Nie o tych miedzach myśli stary Karaś i nie o dróżkach, ani o rżyskach... O Hanusi myśli złotowłosej...

Naokół cudnie czerwono i złoto. Nie szumi już jasny łan, ino się bór stary pod wichrem konarami starymi ugina, ino zadrga przydrożna brzoza, co już złote liście

zrzuca z siebie i na nowy przyodziewek na śnieg—czekać się zdaje...

Ale i o tej cudnej jesieni nie duma stary Karaś. O Hanusi myśli złotowłosej.

* * *

A wiatr po polu chodzi i zawodzi.

Od owej pamiętnej nocy nie przestaje Antkowi śnić się złotowłosa Hanusia. Coś mu na sercu cięży ciągle, coś mu na duszy ciągle o niej tylko śpiewa i gra!

Stoi nad wiązką gałęzi pochylony i rąbie. Smutno, oj, smutno ci na duszy twej, młody Antku!

Nie śpiewać ci, nie do radości! Hanuś złotowłosa—nie twoja!

— Nie moja!—jęknął chłop.

Huczy, zawodzi wicher w polu, podnosi kurzawę aż ku niebu wielkiemu i gna, gna w ten szeroki świat!

A przy płocie zagrody stoi Hanuś złocista, patrzy w pole dalekie i piosenkę sobie śpiewa...

„Na wesele mi przyszło,
„Wesele,
„Będzie gości tu wiele,
„Oj, wiele...“

Przed Antkiem stanął Ignacy.

— Dobry wieczór, Antku, rąbies? —

— Toć widzis...

Tak mu coś w duszy zadrgało, tak mu coś zajęczało, jako ten wiatr, co hula w polu i dmie.

— Powiadajom, Antek, co tyś Hankę miłował... prawda to?—

Oblało coś, jakby żarem parobka.

— Sprawiedliwie powiadajom,—mruknął.

Ciemno na dworze i ponuro... Jesień.

A w duszy Antkowej coś jęczy, coś łka. Zapamiętale rąbie drzewo, na świat nie patrzy.

— Ano, Antek, co robić, nie twoja ona będzie...

...Hej, hula wiatr i jęczy w polu!...

— Nie twoja ona będzie! —

— Nie moja!...

Coraz ciemniej, coraz ciemniej w duszy Antkowej.

— Nie moja, nie moja ona będzie! —jęczy chłop.

Zamroczyło coś naraz chłopaka,

Widział przed sobą nienawistnego rywala, widział go, jak stał z uśmiechem na ustach—na ustach, co całowały Hanusię...

Jak we śnie, schwycił topór i, jak we śnie cisnął nim w głowę przeciwnika. Krwią brocząc, zwalił się rywal.

A naraz w czerwoności krwi zesunął się półsen z powiek Antka... Ujrzał go, ale nie uśmiechniętego... W kałuży krwi tarza się jego głowa...

— Zabiłem—zadygotał, jak w febrze.

I począł naraz biedz naoślep przed siebie, zostawiwszy przy zabitym zakrwawiony topór.

Biegł, biegł, biegł.

Ino ten wicher jesienny bił go po twarzy i za nim pędził, ino ten wicher

groził mu i jęczał i przekleństwa na biedną głowę ciskał.

Cóżeś ty zrobił?!—jęczało mu w duszy.

— Cóżeś ty zrobił?!—szepnął mimowoli.

Posłyszał naraz śpiew... Hanusia śpiewała...

— Co ona teraz powie?...

Stała Hanusia Karasiówna w jasnych blaskach złocistych warkoczy, cudna i wyniosła, jak jodła.

— Hanuś,—zajęczał—Hanuś! —

Obejrzała się dziewczyna.

— Dobry wieczór, Antek... co to wam, co to?! —

— Hanuś... —szepnął tylko.

— Co też to z wami? Loboga! —

— Hanuś, tam... jest... Ignacy!...—

Roześmiała się wesoło.

— No więc to i co?—odparła,—jest to i pójdę do niego. —

I chciała biedz.

— Nie pójdziecie! —

— Bez co?—zdziwiła się.

— Hanuś,—zajęczał znowu—on tam leży... Hanuś, Hanuś ty moja... ja go... zabiłem! Hanuś... —

W prochu u nóg Hanusi złocistej wije się Antek...

Coś naraz jakby pękło w Hanusinym serduszku...

A wicher po polu szerokim hula! swobodny jesienny wicher wyje i gna!

Historja o zbytecznym człowieku.

Żył raz na świecie człowiek zupełnie zbyteczny. Nikmu z żyjących nie był potrzebny, nikomu nic dobrego, ani nic złego nie czynił. Nikt się na niego nie oglądał i jego również nikt nie obchodził. Był już stary i siwy, jak gołąb biały, chodził zawsze w tem samem odzieniu, po tej samej uliczce, od wielu lat mieszkał w tym samym domu i tę samą starą miał u siebie służącą. Mówili ludzie, że kiedyś, gdy był jeszcze młody i nie tak, jak dzisiaj, wiekiem pochylony i siwy, miał żonę piękną i syna małego. Ale wiecznie żyjąca śmierć zagrabiła tych dwoje, i odtąd

człowiek ten stary był wiecznie samotny i dla całego świata obojętny. Przestał faktycznie żyć, był, zda się, jeno wzorem wszystkiego tego, co musi przeminąć koleją losu, obojętnie dla życia i otaczających, obcych ludzi. Miał podobno kiedyś dawno znajomych, przyjaciół i krewnych, byli nawet tacy, co pamiętali, że mu kłaniali się niegdyś,—ale to minęło i człowiek ten po staremu chodził codziennie tam i napowrót po tej samej małej, czystej uliczce.

I chociaż nieraz słońce świeciło cudnie i odbijało się jaskrawo w zakurzonych szybach; i chociaż nieraz leżały śniegi wysokie i mróz był trzaskający—starzec codziennie o tej samej porze wychodził ze swego domku, stojącego u krańca uliczki i rozpoczynał swą jednostajną, a krótkotrwałą podróż. W końcu przestali się ludzie dziwić i przyzwyczaili się do niego. A starzec chodził tam i napowrót krokiem jednostajnym, miarowym, spokojnym, na nikogo nie patrząc i do nikogo się nie uśmiechając.

I tak było przez długie lata. Nikt na całej uliczce nie pamiętał takiego dnia, w którymby starzec nie przechodził pod oknami równym, smutnym krokiem i wracał tąż samę drogą napowrót.

Starzec mieszkał w małym, nizkim domku, samotnie położonym, obrośniętym jakiemiś dzikiemi zielskami. Nie dochodził tutaj gwar i hałas śródmieścia. Wokoło domku pusto było i cicho. I cichość ta, zda się, przechodziła i wewnątrz, przez nizkie drzwi i zapadnięte okna i w całym domku była wielka, nigdy nieprzerwana, tęskniąca za światłem cisza. Żaden z przechodniów nigdy nie zaglądał do wnętrza domku, a nikt stamtąd również na małą uliczkę nie wyglądał.

Codziennie, o szarej godzinie, starzec zasiadał w małym pokoju przy stole i rozkładał przed sobą zniszczony stary album z fotografiami. Z rozkoszą i lubością, mrużąc co chwila oczy, przyglądał się dawnym, zapomnianym twarzom, uśmiechając się skrycie do wspomnień. A czasem z pod

przymrużonych starczych oczu wypływała powoli wielka łza i spływała na wyniszczony garnitur.

A w przyległym pokoju siedziała stara służąca, wygasłem i tępem spojrzeniem patrzyła w jasny ogień na kominku i wolnym, śpiewnym, jednostajnym głosem szeptała pacierze...

— Zdro-owaś Mary-jo, ła-skiś pe-ełna..

A gdzieś tam, z półki pod kominem, cykał wolno i uroczyście zegar, równie stary, jak i pan tego domku. A na dworze szalała zamieć, lub słońce jasno świeciło—a starzec ciągle patrzył w zapomniane twarze i służąca szeptała pacierze...

I stał tak przez długie lata, pogrążony w ciszy, domek przy końcu uliczki.

Aż dnia pewnego obudził się, zda się, domek z martwoty i ciszy.

Starzec leżał na wielkiem staroświeckiem łóżku, biały, jeszcze bielszy, jak przedtem, suchy i zwiędły. Wielkie, gasnące oczy słał w stronę stolika z fotografjami i coś niezrozumiale szeptał. Przy-

szedł ksiądz, niewiadomo przez kogo przywołany i przygotował staruszka na daleką, bezpowrotną podróż. Starzec leżał na łożu, a u poduszek czaiła się złowroga, bezlitosna śmierć, pasmem nicości owiewając konającą duszę. Głucho i bezwyraziście spoglądała stara służąca na konającego pana. Z ust jej bezwiednie idą słowa, śpiewnym i monotonnym powtarzane głosem:

— Zdro - owaś Mary - yjo, ła - askiś pe - ełna...

I w cudny wiosenny dzień, kiedy jasne słońce słało dalekiej ziemi gorący pocałunek opieki, kiedy najcudniej śpiewały ptaki, a na uliczkę wysypały się dzieci — w taki cudny wiosenny dzień umarł starzec samotnie i cicho...

I odtąd przez małą uliczkę nie przechodzi codziennie starzec, nikt nie słyszy pod oknami równych, smutnych i powolnych jego kroków.

Ludzie dziwili się z początku jego nieobecności, coś jakby tęsknota, grało im

czasami w sercach—ale z czasem zapomnieli i nie tęsknili więcej. I po dawnemu dziatwa bawiła się na chodnikach, i po dawnemu świeciło słońce, lub zamieć śnieżna szalała.

A mały domek na końcu uliczki zapadał się coraz niżej i niżej...

Przed laty.

Z KSIĘGOZBIORU EMILA BALCERA W TOMASZOWICZU

Siedziała starościna przy ciepłym kominku i dumała. Szara, cicha godzina... A w przyległym pokoju, w jadalni, krząta się czeladź i wigilijną wieczerzę szykuje.

Wigilja.

W zacisznym kąciku przy kominku siedzi starościna i duma. Niestara jeszcze, ale włos jej posrebrzał i czoło gdzieniegdzie zmarszczkami pokryte. Narzutkę ciepłą ma na ramionach, stołeczek pod nogami, siedzi na nizkim, wyścielanym fotelu. Siedzi i duma...

Szara, cicha godzina, O takiej godzinie plejady promiennych duchów schodzą z wysokości i jasne marzenia przesuwają obrazami przed oczyma zadumanemi.

Ponuro i smętnie na podwórcu dworskim. Śnieg sypie powoli wielkimi białymi puchy i w sennych marzeniach obejmuje ziemię. Cicho, cichutko padają jasne płachty śniegu — głośno cyka zegar staroświecki... „Tik-tak, tik-tak“ pukają godziny ciche, jednostajne, niezmienne...

Duma starościna, oparłszy gładko zaczesaną głowę o poręcz fotelu, wpatrzywszy się w jasny blask kominkowego światła. Wigilja dzisiaj... Jeszcze pół godziny, a ukaże się gwiazda.

Otwierają się drzwi cichego pokoju i staje w nich wysoki, barczysty młodzieniec lat może dziewietnastu, w krótkim półkożuszku i wysokich butach. Strzepuje za drzwiami ubranie ze śniegu i wchodzi do izby. W milczeniu siada u stóp starościny pochylonej i patrzy w jej chudą, mizerną twarz... A zegar staroświecki cyka głośno na kominku... „Tik-tak, tik-tak“ pukają godziny ciche, jednostajne, niezmienne.

Porusza się w fotelu starościna i rzecze:

— Czy wiesz, Józefie, będzie dzisiaj Stefan z nami... przyjedzie... —

— Bodajby jeno mógł... — szepcze młodzian.

— Przyjedzie, zobaczysz, toć pisał przed miesiącem... — I drżącą ręką podaje synowi niewielki zwitek papieru.

Przysuwa się młodzian bliżej kominkowego światła i czyta:

„Najmiłościwsza, najukochańsza Pani matko! Padam Ci do nóg i kolana Twe Matczyne sciskam. Czy Maryla pamięta jeszcze o mnie i o ślubach naszych czy pamięta? Nieraz, w ciszy nocnego obozowiska widzę Jej jasną, anielską twarz przed sobą i w wyobraźni ręce Jej całuję... Zatęskniłem się tu do Was, to też czekajcie mnie z wigilją—przyjadę...“

— Widzisz—przerywa starościna czytanie—przyjedzie!...

Syn czyta dalej.

„Nie mogłem do Was pierwej, Ukochani Moi, przyjechać, boć i przejazd przez kordon był trudniejszy i my tu teraz nie próżnujem! Najmiłościwszy Cesarz Bonaparte po nowe wiedze nas wawrzyny!.. Kłaniam się Tobie do nóg, Pani Matko kochana, ściskam Józefa serdecznie, a Marylę ucałuj odemnie! Czekajcie mnie z wigilją. Wasz Stefan".

Urwało się czytanie.

— Biedna Maryla!—wyrywa się z ust starościny—Biedna sierota!—

— Tęskni, boć narzeczona! — uśmiecha się Józef.

— Sierota biedna bez rodziców... nie dziwno mi, że czeka Stefana. Toć hańby jej nie przynosi, walcząc tam... na polu chwały.

— Ani nam, pani matko...— —

Cicha, szara godzina... Na kominku zegar staroświecki głośno cyka, „Tik-tak, tik-tak" pukają godziny ciche, jednostajne niezmienne...

— Nie dla mnie takie życie!—wybucha naraz młodzieniec. Pani matko, pozwólcież mi już wreszcie na te walki! Toć patrzcie, Stefan walczy, zdobywa sławę, a ja doma siedzę i siedzę! Moje miejsce jest tam! z orłami!—

— Twoje miejsce jest tutaj, ze starą matką wdową... — szepcze starościna i patrzy w jasne oczy syna.

— Nie, pani matko! Tam mi pora! Tam woła mnie ojczyzna! Cesarz nam ją odda; musimy mu jeno naszej waleczności dowieść! Toć patrzcie, wszyscy młodzi od nas idą...—

Cicha, szara godzina... Samotnie i ponuro na podwórcu dworskim, śnieg pada wielkimi puchy i w ciepłe objęcia bierze białą ziemię.

— Dość poniewierki jednego — szepcze starościna powoli i marszczy surowo twarz—dość! dość! —

Zrywa się młodzian.

— Toć to nie poniewierka! To chwała na wieki! Pomyśl, pani matko, — pod Napoleonem walczyć! —

Za ścianą w przyległym pokoju krzątanina. Szykują wigiljną wieczerzę. Wstaje starościna z przed ciepłego kominka i do okna nizkiego podchodzi...

— Już i gwiazda na niebie — mówi smutno, patrząc do góry.

A z za ściany dochodzą głosy krzątającej się czeladki:

„Bóg się rodzi,
Moc truchleje..."

— Bóg się rodzi!—szepcze starościna i znakiem krzyża błogosławi drogę, którędy przyjedzie Stefan... — Bóg się rodzi!— żegna się sama.

— Niema jakoś Stefana jeszcze— mówi Józef i wraz z matką wchodzi do jadalni.

W tej chwili nikogo tutaj niema z czeladzi. Pod oknem siedzi dziewczę i wyczekująco na trakt spogląda. Krucze warkocze zwieszają się jej z tyłu głowy,

czoło zadumane pochyla naprzód i patrzy. Na widok wchodzącej starościny żywo podnosi się z miejsca.

— Niema Stefana... — i jasne oczy napełniają się łzami.

— Jeszcze może przyjedzie — mówi Józef i sam podchodzi do okna.

Pusto na trakcie, pusto i ponuro. Coraz więcej śniegu na drodze, coraz więcej.

— Siadajmy do wieczerzy — mówi starościna. —

— Nie doczekamy go się dzisiaj... siadajmy. —

W milczeniu ponurem skupia się gromadka domowej czeladki, a starościna, według corocznego, uświęconego tradycją zwyczaju, obchodzi wszystkich po kolei i łamie się opłatkiem... Dochodzi wreszcie do Maryli. Widzi jej oczy załzawione i mówi:

— Otrzyj łzy, Marylko! Matka Boska go od zła uchroni...—

A biedne dziewczę na samą wzmiankę o Stefanie nie może łez powstrzymać i płaczem wybucha.

Smutna, wigilijna wieczerza...

Naraz tę ciszę ponurą przerywa tętent koński na trakcie. Zrywa się z miejsca Józef, do okna podbiega i wygląda na drogę.

— Ktoś na koniu!—woła i twarz mu radością promienieje.

Za nim stoi Maryla i ciekawemi oczyma również na daleką drogę spogląda. Tętent ustaje...

— Zajechał! — szepcze dziewczę — schodzi z konia... Cugle oddaje pachołkowi... Wchodzi do sieni!...—

Chwila wyczekiwania.

Otwierają się nizkie, dębowe drzwi. Na progu stoi biały od śniegu oficer. Zrzuca płaszcz i kaptur, kryjący strój. Puszysta kita spada mu z kasku na ramię, na długich paskach wisi szabla u boku.

Wszystkie oczy zwracają się radośnie

w tę stronę i naraz wszyscy cofają się zdumieni.

— Nie on! — szepczą usta.

Dorodny oficer wchodzi do izby. Smutnym wzrokiem spogląda na cudne dziewczę, na starościnę, na syna...

—Przebaczcie, łaskawi państwo, że wam przerywam wieczerzę, ale... musiałem wydążyć na wigilję... Stefan mi polecił...

— Stefan?!—wybucha radośnie Józef —Mówże waćpan prędzej, gdzie jest? czemu nie przyjechał?—

Ciemnieje czegoś twarz młodego oficera. Wolnym i drżącym głosem, nie patrząc na nikogo, mówi:

— Porucznik Stefan Niemirowski... za ojczyznę... za cesarza... poległ! —

Głucha, straszna cisza. Rwie się coś i łamie w sercu starościny, rwie się i łamie w serduszku dziewczęcem. Z płomieniem na twarzy stoi syn. Milczenie... Dwie ciężkie, grube łzy spadają z oczu starościny...

Oficer mówi oderwanemi zdaniami, głosem dźwięcznym, lecz wzruszonym...

— Było to w rocznicę koronacji. Austerlitz! jechał przy moim boku, razem. Biedny! po śmierć jechał! Widzimy przed sobą nieprzyjacielską kawalerję... Lannes wskazuję nam zakrwawioną szablą wrogów i woła: „Naprzód!" „Vive l'Empeureur!" wołamy. Pędzimy jak burza! Naraz słyszę wśród krzyków, jak on, Stefan, mówi do mnie: „Zobaczysz! tutaj będzie mój koniec!" A później dodał: Jedź do matki starościny na wigilję i powiedz... że padłem za ojczyznę... —

Łamie się głos mówiącego... Starościna milczy; białą głowę pochyliła i słucha... Szlocha dziewczę, u końca stołu siedzące. Oparło jasną głowę o ramię Józefa i łka i słucha... A dorodny oficer opowiada im dalej:

— Pędziliśmy, jak wicher! Szable w dłoni, ogień z oczu i nozdrzy końskich. Później zamęt... walka na szable. Widzę,

jak jego dłoń spada coraz to na głowy nieprzyjaciół... wreszcie... znika mi z oczu.

...Nie płacze starościna—słucha.

— Znalazłem go po bitwie na polu...

Leżał zabity, jasny i potężny, z rozciętą na dwoje głową... —

Wzmaga się szloch dziewczęcia. Kołysze się jasna głowa na męskich ramionach.

— Zdjąłem mu z piersi krzyż, krzyż walecznych. .—

Wyjmuje z pod szarego płaszcza zawiniątko i ze czcią wielką w ręce staroś. ciny składa. Krzyż legji honorowej.

Z miłością i szacunkiem całuje matka krzyż walecznych, zdjęty z poległego syna! Mocno przyciska do suchych warg...

Z miłością i szacunkiem całuje narzeczona krzyż walecznych, zdjęty z poległego młodzieńca. Mocno przyciska do warg karminowych.

Z miłością i szacunkiem całuje brat krzyż walecznych, zdjęty z poległego brata. Mocno przyciska do suchych warg...

— I leży on tam we wspólnej mogile poległych za ojczyznę, za cesarza! Leży z tymi, co piersią swą mężną bronią dzielnie ideału swego z wiarą w zwycięstwo! Świeci nad nimi jasna gwiazda! Gwiazda Austerlizu.! —

Skłania się kaskiem do ziemi dorodny oficer smutnie i ponuro. Zarzuca płaszcz i, brzęcząc ostrogami i szablą, wychodzi i siada na koń...

Wśród ciszy zrywa się Józef.

— Matko! puście mnie teraz i błogosławcie. Za orłami pójdę! Za ojczyznę!..

Smutno spoglądają oczy starościny na jasną głowę młodzieńca. Smutnie patrzy na syna, ale się nie waha..

—Idź synu, idź na bój! Błogosławię ci na życie lub... na... śmierć chwalebną!...

Załamuje się głos starościny...

Wyszedł... słychać na podwórzu jakiś ruch, jakieś głosy... Przy blaskach zapalonego łuczywa siada młodzieniec na konia. Rusza. Głuchy tętent koński idzie z dalekiego gościńca i milknie w oddali...

— — — — — — — — — —

W zacisznej izdebce przy kominku ciepłym siedzi siwa starościna i duma. U stóp jej, oparłszy jasną głowę o kolana staruszki, siedzi dziewczę... Dumają w cichości kobiety,

Cicha, straszna, zimowa noc...

...A zegar staroświecki na kominku cyka głośno... „Tik-tak, tik-tak“ pukają godziny ciche, jednostajne, niezmienne...

Z KSIĘGOZBIORU
EMILA BALCERA w ROWICZU

Anioł upadły.

Eli Z. poświęcam.

W noc letnią, kiedy pachnie kwiecie, a słowik w gąszczu nuci cudowne pieśni tęsknoty i żalu; w noc letnią, kiedy śpi przyroda, a tylko gwiazdy mrugają i błyszczą, z wysoka zleciał raz anioł jasny z dalekiego, świecącego nieba na leśne murawy i kwiecia...

A zleciał przez własną winę, bo za sprzeciwienie się Woli Najwyższego wygnany był z nieba. I lecąc tak w noc jasną z firmamentu na ziemię czuł, że się kończy oto królestwo jego i moc jego niei biańska. I czuł, że odtąd traci władzę - moc anielską i jest, jako każdy ze śmiertelniwów—nicością...

I zapłakał z żalu i boleści wielkiej upadły, grzeszny anioł, a łzy rzęsiste padały z oczu jasnych, co powoli blask swój i siłę traciły. I płakał anioł upadły, a łzy brylantowe padały na śpiące wrzosy leśne i perłami rosy je srebrzyły. Świeciły jasne łzy, lecz nieczyste, piękne, lecz bolesne, wielkie, lecz niczem będące wobec łez bolesnych śmiertelnika .. I czuł znowu anioł, że odtąd traci władzę anielską i jest, jak każdy ze śmiertelników—nicością...

A trawy, wrzosy i zioła leśne w zdumieniu patrzyły na anioła i ze współczuciem słuchały płaczu jego.

I obejrzał się anioł upadły na trawy i zioła, na las i na drogę... i rzekł:

— Pięknel

Aż naraz podniósł głowę i spojrzał na wysokie, świecące miljardami gwiazd niebo i szepnął cichym, zbolałym głosem:

— Tam jednak piękniej!—

Usłyszały to jagódki leśne i sosny wysokie, co konarami sięgnąć chmur pra-

gną i zdziwiły się ogromnie, że może gdzieindziej być ładniej, niż tutaj. A anioł nieszczęsny spojrzał raz jeszcze do góry, westchnął i wstał z mchu.

A gwiazdy właśnie poczęły blednąć na niebiosach i cichość przedświtu ogarnęła ziemię... Opończą ze skrzydełek okrywał się ptak i śnił o starem, rodzinnem gniazdku i śpiewach wiosny ubiegłej. Cichość przedświtu... Jagódka leśna listeczkami swemi tuliła się miłośnie do sosny wyniosłej i marzyła o zapachach wiosny ubiegłej. Cichość przedświtu...

Westchnął raz jeszcze anioł upadły i wybierać się począł na wędrówkę uciążliwą, a daleką do nieznanych mu chat ludzkich. Chciał iść, ale nie mógł, bo siły nagle opuściły go. Chwila wydawała mu się wiecznością, ziemia—piekłem, a niebo wysokie — niedoścignym rajem. I poczuł, że wraz z utratą władzy i mocy anielskiej — postradał nieśmiertelność! Bo nieubłagany kres jego żywota — czuł, że się zbliża. Śmiertelny!—więc śmierć ma nad nim moc!..

Śmiertelny! — więc musi marnie skonać! Śmiertelny!—czyż jest straszniejsze słowo?!

I żal niewymowny i ból przepotężny, a duszę rozpierający ogarnął skrzydłami czarnemi duszę jego i zapłakał znowu biedny, upadły anioł.

A nad nim pochyliła się trawka wyniosła leśna, zadziwiły się różowe wrzosy, zdumiała się sosna wysoka. A niebo jasne, wielkie i nielitościwie słało mu z wysokości swojej pierwsze światłości różanego świtu.

I poczuł anioł, że z nadejściem dnia —umrze!...

Bo bez nieba swojego żyć nie może!

Bo tęsknił za niem całą mocą duszy upadłego anioła, całym ogromem bólu rozszlochanej piersi i jękami serca.

A nieubłagane Fatum szło i szło na niego, jak nieubłaganie mija czas dla śmiertelników; jak nieubłaganie po wieku—nadchodzi wiek następny.

Z tęsknoty bezgranicznej umierał.

...Do nieba!!

I począł żałować anioł grzechu swego i litować się własnej niedoli. I wzniósł do Boga jasne swoje ręce i modlić się począł.

— Przedwieczny! Doli sługi Twojego ulituj się, Panie! Życia mi, życia daj, o Wiekuisty!! Nieśmiertelności!!

Lecz głuchem i milczącem pozostawało wielkie niebo na jęki umierającego...

I poraz wtóry wzniósł ręce anioł i rzekł:

— Więc nie pragnę nieśmiertelności, ale mnie wróć do ojczyzny mojej, do nieba, bo bez niej muszę umierać... A czyż żyć mogę?! Jak każdy krzew, jak każdy ptak i drzewo kocha swój las; jak każdy strumień swoje brzegi; jak każdy człowiek swoją ojczyznę — tak ja kocham niebo o Wiekuisty!

A czyż może żyć krew, ptak i drzewo bez swojego lasu?!

A czyż może żyć strumień bez brzegów swoich?!

A czyż może żyć człowiek bez ojczyzny swojej?

...Każde z nich musi umrzeć... z tęsknoty.

Więc wróć mnie, o Wiekuisty, do nieba, do ojczyzny mojej, którą kocham nad życie i nieśmiertelność...—

Ale Przedwieczny nie słuchał słów dawnego, upadłego swojego sługi.

I poczuł anioł upadły śmierć, jak dotykała dłońmi zimnemi spragnione usta, jak dotykała dłońmi zimnemi czekające cudu źrenice jego i... zawarła je...

Raz jeszcze westchnął anioł do wysokiego nieba i umarł.

A wówczas trawy leśne i zioła, ptak, budzące się i sosny wysokie — ujrzały ze zdziwieniem wielkiem jeden wyraz, który ostatni dech umierającego w powietrzu nakreślił:

„O J C Z Y Z N A".

Bo czyż może żyć krzew, ptak i drzewo bez swojego lasu?!

Bo czyż może żyć strumień bez brzegów swoich?!

Bo czyż może żyć człowiek bez ojczyzny swojej, a anioł—bez swojego nieba?!..

Jesienią.

Z cichym szelestem po czarnej ziemi suną liście zżółkłe, od drzew oderwane. Z cichym szmerem suną przez aleje parku, przez rozległe, pożółkłe trawniki. Bezdomne, rozproszone po wielkiej ziemi istoty...

Nagie, ponure drzewa cichym szmerem konarów do tęsknej przemawiają ziemi, jakgdyby w tym jękliwym westchnieniu ciche jej słały współczucie. Zda się, pozdrawiają ją w smutku: „Do przyszłej wiosny!".

„Do przyszłej wiosny!"—szemrzą zeschłe trawniki.

I jęk idzie cichy, żałosny, ledwie dosłyszalny, ginący w płaczącym podmuchu wiatru, jęk jesieni, jęk wiosny czekania.

Jeno te liście bezdomne, miotane wichrem po przesmutnej ziemi, skarżą się niebu i drzewom bezdzietnym: „Nam nie doczekać wiosny!" —

* * *

Szeroką aleją parku, po liściach opadłych z drzew, idzie młoda i piękna, jak pierwiosnek, dziewczyna. Idzie powoli i

smutno przez aleje parku, po cichych, ścielących się u stóp jej liściach. Na wyniosłe, nagie drzewa spogląda, na odarte z zieleni konary—i duma:

— Na przyszłą wiosnę...

Na przyszłą wiosnę powiem mu, że kocham...

Na przyszłą wiosnę... —

* * *

Ciche pozdrowienia ślą zadumanej ziemi smutne, nagie drzewa: „do przyszłej wiosny!".

Jesienne słońce śle blade promienie poprzez nagie, czarne konary.

* * *

Aleją parku idzie para małżonków. Oboje już niemłodzi: jemu i jej wiek szronem siwizny przyprószył włosy. Idą powoli i smutnie szeroką aleją, po liściach bezdomnych stąpają.

— Byle doczekać wiosny—mówi ona a będziesz znowu, jak niegdyś, zdrowszy i weselszy...—

— Byle doczekać wiosny...—

* * *

Ciche pozdrowienia ślą zadumanej ziemi smutne nagie drzewa: „do przyszłej wiosny!“.

Aleją parku idzie staruszka powoli i smutnie. Po czarnej, ponurej stąpa ziemi, po opadłych, bezdomnych liściach... Cichą żałością uśmiechają się do niej zeschłe trawniki parku, blade słońce śle jej ostatnie jesieni promienie.

Idzie cicho, powoli i duma:

— Nie doczekać mi przyszłej wiosny, nie doczekać. Jasna wiosna, urocza królewna, miłosna; jasna wiosna—urocza królewna — nie dla mnie. Jako te liście pożółkłe, bezdomne, jako te liście, jesiennym gnane wichrem, jako te liście—jestem...—

Powoli i cicho sunie staruszka przez szeroką aleję parkową.

Szumią drzewa, konarami płacząc czarnemi. Ostatnim akordem żywota szarpią się i tarzają opadłe z drzew liście.

Wyniosłe drzewa ślą ciche ziemi pozdrowienie:

„Do przyszłej wiosny!“ —

Stowarzyszenie Pracowników Nauki Polskiej
INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA
Z KSIĘGOZBIORU EMILA BALCERA


Z KSIĘGOZBIORU
EMILA BALCERA
ŁÓDŹ

INSTYTUT FIZYKI
BIBLIOTEKA

3380/125

20 –

Z KSIĘGOZBIORU EMILA BALCERA UCZNIÓW

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA WARSZAWA BIBLIOTEKA

1709
NARODOWY
INSTYTUT
FRYDERYKA
CHOPINA
D/2

Z KSIĘGOZBIORU EMILA BALCERA W POWIDZU

Stowarzyszenie I.F.C.

TADEUSZ BOK.

Ballada Szopena

i inne

NOWE

Czcionkami Jana
—
1914.